



OKIL KHAMIDOV

GURG

BookEdit

OKIL KHAMIDOV

GURG

BookEdit

Copyright © Okił Khamidov, 2026

Projekt okładki: Dawid Duszka

Ilustracja na okładce: © stock.adobe.com

Redakcja: Magda Ceglarz

Korekta: ERATO

e-book: JENA

ISBN 978-83-68750-13-3

Wydawca

BookEdit

tel. 512 087 075

e-mail: redakcja@bookedit.pl

www.bookedit.pl

facebook.pl/BookEditpl

instagram.com/bookedit.pl

W górach Tadżykistanu, na wysokości 2800 metrów nad poziomem morza, w surowej dolinie Jagnob przycupnęła mała wioska Sokan. Kamienne domostwa, solidne i przyciężkie, wtulone w zbocza, zdawały się szukać ochrony przed chłodem i górskim wiatrem, który świstał pośród wąskich przejść między budynkami.

Nad spowitą nocą osadą unosiła się cicha, uspokajająca melodia – tadżycka kołysanka, śpiewana przez młodą matkę w jednym z domów pełnym ciepła od słabego światła oliwnej lampki. Kobieta pochylona nad solidną kołyską wykonaną z grubego drewna, która od pokoleń była częścią tej rodziny, usypiała dziecko. Sześciomiesięczny chłopiec, zawinięty w miękkie tkaniny, zamykał oczy, powoli poddając się sennemu śpiewowi matki. Na podłodze, otulony grubą wacianą kołdrą, spał jej mąż. Jego twarz była spokojna, jakby mimo całego trudu życia w górach znalazł ukojenie.

Gdy powieki chłopca powoli opadały, a ciche westchnienie snu oznajmiło, że zasnął, kobieta pochyliła się i z czułością pocałowała malca. Potem z twarzą rozjaśnioną spokojem powoli odwróciła się i położyła obok męża. W tej chwili czas zdawał się zatrzymać, jakby nie chciał naruszać spokoju tej rodziny. Nagle ciszę przesył niski, głęboki pomruk, który wstrząsnął całą wioską. Ściany drżały, a z sufitu sypał się tynk.

Zdezorientowany, jeszcze zanurzony we śnie mężczyzna otworzył oczy. Kobieta od razu zrozumiała, że to trzęsienie ziemi. Zerwała się

na równe nogi i podbiegła do kołyski, by ochronić dziecko. Sekundy później ciężka belka z hukiem spadła z sufitu na miejsce, gdzie przed chwilą leżała, przygniatając śmiertelnie męża. W oczach kobiety błysnęło przerażenie, ale bez wahania zasłoniła dziecko swoim ciałem, tuląc kołyskę, jakby sama miała stać się dla niego pancierzem. Czuła, jak serce bije jej szybciej i jak narasta w niej paniczny lęk – nie o siebie, lecz o tę maleńką istotę, którą z miłością nosiła pod sercem przez dziewięć miesięcy. Szeptwała modlitwę przez lzy, jej głos był pełen błagania:

– Boże, proszę, nie zabieraj mi synka... On jest taki mały. Błagam cię...

Kolejna belka runęła z sufitu. Kiedy uderzyła ją w plecy, ból przeszył kobietę od karku aż po dolną część kręgosłupa. Matka swoim ciałem zamortyzowała uderzenie w kołyskę, którą mimo mocnego bólu trzymała pod sobą, osłaniając całym ciałem. Czuła, jak jej ręce tracą siłę, jak świat wokół zaczyna ciemnieć, ale się nie poddała. W ostatnim odruchu matczynej miłości wypchnęła kołyskę spod siebie, jak najbliżej kamiennej ściany, bo wiedziała, że tam jest najbezpieczniej. Przez szparę między gruzami patrzyła na zapłakaną twarz malca, czując, jak życie powoli z niej uchodzi.

Ostatnim obrazem, który zdołała zobaczyć, był jej syn, bezpieczny, przytulony do kamiennej ściany. Uśmiechnęła się słabo, po raz ostatni błogosławiąc w myślach dziecko, nim zupełnie odpłynęła w ciemność ze świadomością, że oddała życie, by on przeżył. Chłopiec, czując zimno i niebezpieczeństwo, płakał rozpaczliwie, jakby wołał wprost do nieba pełnego gwiazd o pomoc, której nie sposób było usłyszeć.

Ranek w wiosce Sokan

Ranek przyniósł ciszę, która była wręcz nienaturalna w miejscu tak tętniącym życiem jak wioska Sokan, która jeszcze wczoraj pełna

śmiechu i rozmów teraz leżała pogrążona w martwocie. Kamienne domy, niegdyś schronienie dla wielu rodzin, teraz były tylko stertą gruzu, a pod nią spoczywały ludzkie historie i wspomnienia.

Na zboczach, trzysta metrów od ruin, na wąskiej, kamienistej ścieżce pojawiła się para starszuchów – Said i jego żona, Firuza. Oboje byli zmęczeni po porannej wędrówce z sąsiedniej wioski Piskon, gdzie spędzili kilka dni na weselu krewnego. Gdy ich wzrok padł na to, co kiedyś było miejscem, które nazywali domem, Said zamarł, a Firuza wydała z siebie cichy jęk. Wioska, która przetrwała setki zim, leżała teraz w strzępach, jakby jakaś okrutna siła postanowiła wymazać ją z powierzchni ziemi. Firuza, wpatrując się w ruiny, cicho szlochała. Nie mogła uwierzyć, że każdy kamień, każda zawalona ściana były częścią życia mieszkańców, które teraz wydawało się odległym wspomnieniem. Ich serca, pełne radości z powrotu, zamarły w przerażeniu i bólu.

Z zadumy wyrwał ich dźwięk – ledwo słyszalny, ale przeraźliwie samotny płacz niemowlęcia, który nie pasował do ciszy doliny. Przestraszeni spojrzeli na siebie. W oczach Firuzy błyszczał strach i troska.

– Said... słyszysz? – zapytała drżącym głosem, trzymając się kurczowo ramienia męża.

Said powoli skinął głową. Nagle zobaczyli, jak dwa wilki, które pojawiły się znikąd, ciągnęły zębami kołyskę spod zwałowiska kamieni. W niej, osłonięte ostatnim wysiłkiem matki, leżało niemowlę – ostatni żywy ślad po tej zniszczonej wiosce.

Firuza wstrzymała oddech, a potem krzyknęła, próbując przestraszyć zwierzęta i odgonić je od dziecka:

– Zostawcie je! Wyoście się!

Ale wilki, jakby nie słyszały jej krzyków, uparcie ciągnęły kołyskę dalej w stronę doliny. Przerażona kobieta zadrżała jeszcze mocniej,

łzy napłynęły jej do oczu. Odwróciła się do Saida, oczekując, że coś zrobi, że jakimś sposobem powstrzyma zwierzęta przed zabiciem dziecka.

– Zrób coś! – błagała, patrząc na męża z rozpaczą.

Said, choć równie przerażony, położył jej rękę na ramieniu. Mimo bólu w jego oczach pojawiła się dziwna pewność. Z lekko uniesioną głową, jakby wsłuchiwał się w coś wykraczającego poza ludzki zmysł, cicho odpowiedział:

– Zostaw... Już nic nie możemy zrobić.

Firuza spojrzała na niego z niezrozumieniem, a potem zaczęła płakać jeszcze mocniej – nie mogła uwierzyć, że mąż poddaje się tak łatwo. Przerazenie ścisnęło jej serce.

– One go rozszarpią – wyszeptała przez łzy.

Said jednak nie odwrócił wzroku od wilków. Patrzył na nie z mieszaną szacunku i rezygnacji, jakby widział w nich nie dzikie zwierzęta, lecz posłańców o wyższej, niezrozumiałej misji.

– Nie rozszarpią... – odpowiedział cicho. – One go ratują. To Stwórca Wszechmogący przysłał te wilki. To dziecko ma jakąś misję na tej ziemi.

Firuza, chociaż pełna obaw, zatrzymała się, wpatrując w męża. Choć jej serce wciąż zalewał strach, słowa Saida dały jej dziwny rodzaj ukojenia. Obserwowała, jak zwierzęta delikatnie ciągnęły kołyskę w stronę doliny, a poranne słońce rozświetlało ich sylwetki, aż zniknęły w cieniu.

Staruszkowie pozostali na szczycie wzgórza, w milczeniu patrząc, jak ostatni żywy świadek wioski Sokan znika w objęciach dzikiej natury, w ciszy, która przyniosła im nie tylko ból, ale i dziwne poczucie przeznaczenia.

Pięć lat później. Wilcza jama

*D*olina Jagnob, ukryta w cieniu strzelistych szczytów, spowita była ciszą, jaką tylko dzika przyroda potrafi utkać. Krzewy gęsto porastały zbocza, splatając się w nieprzeniknioną sieć, a wśród nich widać było wilcze ścieżki wydeptane latami nieustannej wędrowni. Zimny wiatr przemykał po ziemi, szeleszcząc suchymi trawami, niosąc ze sobą woń kamieni i wilgoci. Wilcza jama leżała u podnóża skały, ledwie widoczna spośród chaszczki. Niesforne szczenięta kręciły się wokół matki, ufne, jak tylko mogą być młode stworzenia, które jeszcze nie znają grozy świata. Samiec alfa, potężny i szlachetny w swej postawie, spoczywał na nagrzanym od słońca kamieniu. Z jego bursztynowych oczu biła duma i czujność, obserwował każdy ruch, każdy powiew wiatru, gotów w każdej chwili stanąć w obronie stada.

Nagle w cieniu poruszających się gałęzi pojawiło się coś, co nie pasowało do tej sceny. Było to ludzkie dziecko – chłopiec o długich splątanych włosach i kolanach oraz łokciach pokrytych modzelami. Na czworaka, zręcznie jak wilk, podczołgał się do samicy, która powitała go cichym skomleniem, liżąc po twarzy. Dziecko, wtulone w jej ciepłe futro, odwzajemniło gest, jakby to była najbardziej naturalna rzecz na świecie.

Z oddali, z wyżyny porośniętej rzadkimi zaroślami dwóch myśliwych wpatrywało się w tę niezwykłą scenę. Młodszy z mężczyzn, Samandar, patrząc przez lunetę snajperskiego karabinu, przez chwilę stał nieruchomo, a potem zadrżał lekko, gdy zobaczył, jak chłopiec, niczym jedno z wilcząt, przytula się do samicy.

– To niemożliwe... – wyszeptał, a jego głos zagubił się w wietrze.

Starszy z myśliwych, Rahim, miał twarz pełną blizn, a jego oczy, głęboko osadzone pod krzaczastymi brwiami, wyrażały surowość człowieka, który przeżył niejedno wśród gór i dzikich ostępów. Spojrzał na towarzysza z dezorientacją.

– Co niemożliwe?

Samandar przekazał mu karabin. Rahim przyłożył lunetę do oka i po chwili bezwiednie wypuścił powietrze.

– O Boże Wszechmogący... Ludzkie dziecko wśród wilków – powiedział, a głos mu zadrżał.

Przez chwilę obaj stali bez ruchu, zmieszani tym, co zobaczyli.

– Co robimy? – spytał Samandar.

Rahim milczał, jego spojrzenie było dalekie, jakby błędził po ścieżkach myśli, których nigdy wcześniej nie odwiedzał.

– Nie możemy strzelać – odezwał się w końcu, opuszczając karabin. – Możemy trafić w dziecko.

Samandar skinął głową. Powaga sytuacji ciążyła na jego ramionach.

– Musimy to zgłosić starszemu Doliny – oznajmił Rahim, powoli odwracając się od miejsca, gdzie zauważyli niezwykle zjawisko.
– Chodźmy.

Chłopiec i wilcza rodzina

Słońce przesuwano się ku zachodowi, zanurzając Dolinę Jagnob w złotych barwach, a cienie na ziemi wydłużały się niczym macki ośmiornicy próbujące pochłonąć wszystko na swej drodze. W ciszy, która nastąpiła po chwilowym chaosie, dało się słyszeć stukot końskich kopyt i dźwięki strzałów. Jeźdźcy z uniesionymi karabinami strzelali do uciekających wilków, gonili watahę, która biegła przez kamieniste szlaki, dzieląc się i łącząc w chaotycznych próbach ucieczki.

Chłopiec i szczenięta, schowani w wilczej jamie na wzgórzu, obserwowali z góry, co się dzieje w dolinie. Malec siedział otoczony szczeniętami, które wtulały się w jego chude ramiona, drżąc z przerażenia. Wilczyca, matka, stała przy wejściu, strosząc sierść i wysuwając wargi w ciche, ostrzegawcze warknięcia. W jej oczach błyszczała niezłomna siła, a napięta jak struna postura świadczyła, że strach nie ma do niej dostępu – jedynie troska o młode.

Dolina pełna była strzałów, które rozdzierały powietrze, jakby niebo pękało z bólu. Jeźdźcy posuwali się naprzód, ich twarze oświetlone słabnącym słońcem wydawały się rozognione żądzą zwycięstwa. Każdy trzask, każda kula przesywająca powietrze sprawiała, że chłopiec kurczył się bardziej, przyciskając wilcze szczenięta do siebie.

Nagle cisza w jamie została przerwana. Tupot stóp, krzyki ludzi i rzenie koni zbliżały się nieubłagane. Matka wilczyca uniosła głowę, jej mięśnie napinały się gotowe do walki. Spojrzała na swoje młode, jakby chciała je pożegnać, a potem rzuciła się na jednego z mężczyzn, który wkroczył do ich kryjówki. Strzał rozdarł powietrze, a huk odbił się echem w sercu chłopca, który z przerażeniem patrzył, jak ciało jego opiekunki osuwa się na ziemię. W jej oczach zgasło życie, a skamieniała twarz przestała wyrażać cokolwiek.

Chłopiec i szczenięta rzucili się na martwą matkę, wtulając się w jej sierść, która już zaczynała tracić ciepło. Szelest liści i odgłosy ciężkich oddechów mężczyzn odbijały się od ścian jaskini. Rahim zbliżył się do martwej wilczycy, a na jego twarzy pojawiła się mieszanka zadowolenia i zmęczenia. Uniósł rękę i skinął na Samandara, który podszedł, by zabrać dziecko i szczenięta.

Chłopiec poczuł silne ręce chwytające go za ramiona. Zawarczał i wgryzł się w dłoń mężczyzny, jego spojrzenie było dzikie i pełne bólu.

– Au... au... Oh, parszywy gurg!¹ – wykrzyknął Samandar, wytrzymując ból i potrząsając chłopcem, aż ten puścił jego rękę.

Zanim chłopiec został zabrany, jego wzrok po raz ostatni spoczął na matce, wilczycy leżącej w posępnej ciszy. W tej chwili zrozumiał, że stracił coś, co już nigdy nie wróci.

¹ Wilk, tł. z tadżyckiego.

Wioska Piskon, położona wysoko w górach w Dolinie Jagnob, skąpana była w chłodnym świetle wczesnego wieczoru. Zebrany tłum ludzi, z różnorodnymi twarzami ukrytymi pod kolorowymi chustami i turbanami, rozmawiał ściszymi głosami, obserwując niezwykle gościa – chłopca, którego odkryto w wilczej jamie. Spojrzenia były pełne niedowierzania i lęku, szeptali między sobą, jakby bali się, że nagły hałas przywoła coś dzikiego i nieprzewidywalnego.

Chłopiec siedział skulony na trawie, jego czarne oczy błyszczały jak u zwierzęcia otoczonego przez stado drapieżników. Drobne ciało drżało z napięcia, a długie włosy opadały w nieładzie na ramiona. Był przyzwyczajony do górskich dolin i zimnych skał, do zapachu ziemi i ciepła sierści. Teraz świat wokół niego zdawał się wrogi i obcy, a każdy ruch tłumu sprawiał, że serce biło mu szybciej. W środku zebranych ludzi stał Starszy Doliny, mężczyzna o białej brodzie i oczach pełnych surowej mądrości. U jego boku, z kamiennymi wyrazami twarzy, byli Rahim i Samandar, myśliwi, którzy wyciągnęli chłopca z wilczej jamy. Starszy Doliny uniósł rękę, przywołując ciszę.

– Dajcie temu gurgowi się napić – powiedział, a jego głos, choć cichy, niósł się po zgromadzeniu.

Z tłumu wysunął się dziewięcioletni chłopiec, trzymając w dłoniach gliniany dzban. Jego oczy były pełne obaw, ale posłusznie ruszył naprzód. Zanim jednak zdążył podejść bliżej, drogę zagroził mu dwunastolatek o zuchwałym spojrzeniu. Wyciągnął z torby

paprykę chili, rozdrobnił ją szybko i wrzucił do wody, uśmiechając się złośliwie.

– Idź teraz, daj się napić parszywemu gurgowi – powiedział cicho, lecz w jego głosie była nuta wyzwania.

Młodszy chłopiec podszedł do siedzącego na trawie przybysza. Jego ręka drżała, gdy podawał mu dzban.

– Ej, gurg, napijesz się wody? – powiedział, a jego głos załamał się z lęku.

Chłopiec, którego przezwali gurgiem, wyczuwając zbliżające się zagrożenie, uniósł głowę i zawarczał jak prawdziwy wilk. Młody niosący wodę cofnął się gwałtownie, upuszczając dzban na ziemię, i szybko umknął w tłum. W ciszy, która zapanowała, Starszy Doliny zmarszczył brwi, obserwując dzikiego chłopca. Odwrócił się do Rahima i Samandara.

– Prawdopodobnie to jest to samo dziecko, które pięć lat temu zostało porwane przez wilki z wioski Sokan po trzęsieniu ziemi – powiedział, mrużąc oczy i przesuając spojrzeniem po tłumie, który znów zaczął szeptać.

Rahim skinął głową.

– Chłopiec wiekowo ma około pięciu lat.

– Tak, to na pewno to dziecko – potwierdził Samandar, jego oczy były poważne. – Bo kto inny w naszych górach mógłby to być?

Starszy Doliny pokiwał głową z zadumą, spoglądając na chłopca, który znów kulił się na trawie, wpatrując się w dorosłych jak zwierzę, które ocenia, kiedy nastąpi atak.

– To bardzo dziwne, że wilki go nie zjadły, a zaadoptowały – powiedział Starszy Doliny, marszcząc czoło.

– Jak on przetrwał nasze chłodne zimy? – spytał Rahim bardziej siebie niż kogokolwiek innego.

Samandar dodał z niedowierzaniem:

– Jak w ogóle przetrwał?

Starszy Doliny westchnął ciężko, a jego spojrzenie spoczęło na młodej kobiecie stojącej z boku, jakby nie należała do tłumu. Miała na imię Niso, wdowa, która w tej samej tragedii pięć lat temu straciła męża i dzieci. Życie naznaczyło jej twarz smutkiem, lecz w oczach tliła się iskierka cichej siły.

– Co z nim zrobimy? – kontynuował Starszy Doliny. – Jego rodzice wtedy zginęli, tak jak cała wioska. On nie ma krewnych.

Samandar, który spoglądał na Niso, skinął głową.

– Może Niso chciałaby go zaadoptować? – zasugerował, wskazując ją palcem. – Jest samotną wdową i raczej nikt jej już nie weźmie za żonę.

Starszy Doliny zbliżył się do chłopca. Podniósł dzban z ziemi, nieświadom podstępny chłopców, którzy dodali do niego ostrą paprykę chili.

– Masz, gurgcza¹, napij się – powiedział łagodnie.

Chłopiec spojrzał na niego podejrzliwie, warcząc, ale Starszy Doliny odstawił dzban i odszedł, podchodząc do Niso.

– Posłuchaj, Niso – zaczął z powagą. – Ten chłopiec stracił rodziców i wszystkich swoich krewnych pięć lat temu podczas trzęsienia ziemi. Nie ma nikogo. Ty też nikogo nie masz, bo w tamtej tragedii straciłaś męża i dzieci. Ten chłopiec to dla ciebie dar Boży. Weź go do swojego domu. Bądź dla niego matką.

Niso spuściła głowę, łzy zakręciły się w jej oczach, ale usta zadrżały w ledwie widocznym uśmiechu.

– Z wielką pokorą przyjmę ten dar Boży. Od teraz mój dom znów nie będzie pusty – powiedziała cicho.

¹ Wilczku, tł. z tadżyckiego.

Starszy Doliny pokiwał głową z ulgą, a na jego twarzy pojawiła się łagodniejsza nuta.

– Dziękuję ci. Tak myślałem, że nie odmówisz. Wiem, że będziesz dla niego najlepszą mamą.

Niso spojrzała na chłopca, którego dzikie oczy śledziły każdy ruch, gotowe do obrony.

– Jak chłopiec ma na imię? – zapytała z łagodnością w głosie.

– Nie wiem. Na razie nazywamy go Gurg, a ty daj mu imię takie, jakie chcesz – odparł Starszy Doliny.

– Nie wolno dziecku zmieniać co chwilę imienia, bo będzie kłamcą
– powiedziała Niso, a w jej głosie zabrzmiał cień nadziei na przyszłość.

Dom Niso

Dom Niso, stojący na skraju wioski, skromny, lecz ciepły, rozbrzmiewał ciszą przerywaną tylko szeptem wiatru. Wewnątrz mrok wieczoru oświetlało migotanie świecy, której płomień drżał, rzucając na ściany tańczące cienie. Chłopiec siedział na podłodze, skulony i nieruchomy jak małe, przestraszone zwierzę. Jego oczy, czarne jak noc, spoglądały spod zasłony włosów na każdy ruch Niso. Kobieta podeszła ostrożnie, w dłoniach trzymając kawałek chleba. Skóra na jej rękach była spracowana, lecz gesty delikatne. Kucnęła przed chłopcem, uśmiechając się łagodnie.

– Proszę, jedz – powiedziała, wyciągając rękę.

W mgnieniu oka chłopiec skoczył do przodu, a jego zęby wbiły się w jej nadgarstek. Niso syknęła z bólu, ale nie cofnęła ręki gwałtownie, tylko delikatnie odsunęła ją, nie spuszczać z niego wzroku.

– Spokojnie – wyszeptała, przyciskając dłoń do piersi, gdzie pulsował ból, ale i rosnące zrozumienie dla tego zagubionego dziecka.

Nazajutrz przyniosła mu mięso, krojone i starannie ułożone na glinianym talerzu. Podchodziła powoli, każdy jej krok był

przemysłany, jakby stąpała po cienkim lodzie. Chłopiec, z oczami lśniącymi nieufnością, warczał ostrzegawczo. Tym razem nie próbowała zbliżyć się bardziej, zostawiła talerz na podłodze i cofnęła się, siadając w kącie. Obserwowała go długo, lecz chłopiec nie sięgnął po jedzenie, jego ciało było sztywne, jakby walczył z potrzebą zaspokojenia głodu.

Minął dzień, a chłopiec słabł. Oczy straciły swój dziki blask, ciało stawało się wiotkie, a oddech cięższy. Niso widziała, jak jego ręce drżą, gdy próbował przesunąć się bliżej ściany. Serce ścisnęło jej niepokój, a myśli przepełniała trwoga, że może umrzeć z głodu. Klęczała obok niego, próbując znaleźć sposób, by przełamać tę barierę nieufności.

– Proszę, zjedz coś... – wyszeptała, a jej głos łamał się pod ciężarem troski. Wzięła talerz i przesunęła go delikatnie ku niemu, ale chłopiec tylko zmrużył oczy, zmęczony i wycieńczony.

Gdy zapadła noc, Niso podeszła do niego jeszcze raz, cicho jak cień. Uklękła, a serce biło jej szybko, gdy wyciągała rękę i delikatnie głaskała jego głowę. Chłopiec otworzył oczy, przestraszony i gotowy do ucieczki, ale siły miał na tyle mało, że jedynie przesunął się o krok w tył. Niso z ciepłym uśmiechem przesunęła w jego stronę talerz. Tym razem, choć powoli i z rezerwą, sięgnął po mięso. Zaczął jeść, na początku ostrożnie, potem łapczywie, jakby bał się, że zaraz zniknie. Ulga, która spłynęła na Niso, była niemal namacalna. W kącikach jej oczu pojawiły się łzy, lecz tym razem były to łzy nadziei.

Czas płynął, a dzień za dniem budował most między dzikością a domem, który był schronieniem. Chłopiec podchodził coraz bliżej Niso, biorąc jedzenie z jej rąk, a jego spojrzenie stawało się mniej ostre, bardziej badawcze. Niso z każdym dniem czuła, że zaczyna ich łączyć cienka nić zaufania.

Pewnego dnia, gdy promienie słońca przebijały się przez małe okno, rozświetlając wnętrze domu, Niso postanowiła podjąć odważny

krok. Zanurzyła rękę w misce z wodą, a potem delikatnie zaczęła kąpać chłopca. Nie protestował, choć jego ciało było napięte. Następnie nożyczki cicho przesuwaly się po jego włosach, które opadały na podłogę w ciemnych pasmach. Kobieta uśmiechnęła się, widząc wyraźnie jego rysy twarzy, jeszcze dziecięce, lecz już zahartowane przez trudne życie. Wieczorem, przy blasku lampy oliwnej, zaczęła uczyć go pierwszych słów.

– Ma-ma – mówiła, wskazując na siebie.

Chłopiec patrzył na nią z niepewnością, jakby próbował zrozumieć, co to znaczy. Po chwili jego wargi, drżąc, poruszyły się.

– Ma... ma – wyszeptał, a echo tego słowa rozeszło się po domowym melodia zapomniana, lecz piękna.

Niso uśmiechnęła się, jej oczy zaszkliły się łzami.

– Gurg. – Wskazała go delikatnie.

Chłopiec powtórzył. Głos miał jeszcze chropowaty i niepewny, ale brzmiał dumnie, jakby znał już to słowo od dawna.

Tego wieczoru dom Niso stał się czymś więcej niż schronieniem. Stał się miejscem, gdzie dzikość zaczynała się oswajać, a samotność przekształcać w więź.

Dwadzieścia lat później. Wioska Piskon

Dolina Jagnob rozległa i otoczona górami, lśniła w świetle poranka, jakby chciała pożegnać młodych, którzy mieli wyruszyć w drogę. Czas, nieubłagany w swoim biegu, zmienił dolinę, ale wciąż tchnął w nią ducha przodków, pamięć o dawnych latach i pokoleniach. Kiedy do Gurga przyszło wezwanie do wojska, Niso patrzyła na niego z bólem matki, która musi pożegnać syna. Wiedziała, że ten dzień nadejdzie, ale nic nie mogło jej przygotować na pustkę, która po nim zostanie.

Apel do poborowych

Na placyku, który służył jako miejsce zebrania, zgromadził się tłum. Kobiety w barwnych chustach i mężczyźni o twarzach pobrużdżonych przez wiatr i słońce przyszli, by pożegnać swoich synów, braci, przyjaciół. W centrum, w szeregu młodych mężczyzn stał Gurg. Teraz był to dwudziestopięcioletni mężczyzna, wyprostowany i o spojrzeniu poważnym, jakby każde przeżycie z dzieciństwa osiadło na dnie jego oczu. Jego sylwetka była wysportowana, a twarz, wciąż zachowująca chłopięcy urok, wzbudzała zachwyt dziewcząt z Doliny Jagnobskiej. Obok niego, z nieodłącznym szelmowskim uśmiechem, stał Nurik, rudy młodzieniec z twarzą usianą piegami, którego śmiech był znany każdemu w dolinie.

Starszy Doliny, z brodą jak śnieg i głosem głębokim jak pieśń, przemawiał do zgromadzonych:

– Moi drodzy, dziś do wojska idą chłopcy z naszej doliny. Życzę im, żeby byli prawdziwymi mężczyznami i dzielnie oddali swój dług ojczyźnie. Życzę im też szybkiego powrotu do domu, do swoich rodzin.

W tłumie wzruszenie wisiało w powietrzu. Matki ocierały łzy, ojcowie stali wyprostowani, ale ich twarze były pełne dumy. Niso, przybrana matka Gurga, patrzyła na niego z mieszaniną smutku i miłości. W jej oczach odbijała się cała historia – od dnia, gdy przyjęła go pod swój dach, po każdy moment, w którym widziała, jak dorastał i nabierał sił.

Nurik szturchnął Gurga, a jego piegowate policzki rozciągały się w uśmiechu.

– Gurg, patrz tam – szepnął i wskazał na grupkę dziewcząt, które spoglądały na niego z wyraźnym zachwytem. – Wszystkie przyszły cię pożegnać.

Gurg uśmiechnął się półgębkiem.

– Nurik, uspokój się – odpowiedział. – Przecież tam stoi też twoja siostra.

Nurik zmarszczył czoło, przyglądając się tłumowi, aż w końcu dostrzegł swoją szesnastoletnią siostrę uśmiechającą się przekornie.

– Ożeż ty, gówniario – mruknął pod nosem. Zamachał ręką, gestem wskazując jej, żeby wracała do domu. – Co powiedziałem? Do domu!

Dziewczynka odpowiedziała mu tylko wystawieniem języka, a Gurg parsknął cichym śmiechem.

– Coś nie masz chyba autorytetu u swojej siostry – rzucił żartobliwie.

Nurik westchnął, jego oczy pełne były udawanego oburzenia.

– Bo stoję za daleko. Byłbym bliżej, szybko poczułaby mój autorytet.

W tym momencie Starszy Doliny ponownie przemówił:

– Moi drodzy, specjalnie dla naszych chłopców, którzy dziś idą do wojska, Rada Starszych wspólnie z Radą Doliny zorganizowała

buzkaszi¹. Główną nagrodą jest dwuletnia dojna krowa. Zapraszam wszystkich do udziału w zawodach.

Placyk zadrżał od entuzjazmu, oklaski i okrzyki zachwytu odbiły się od zboczy gór.

– No, Gurg, nie dajmy patałachom zgarnąć nagrody – powiedział Nurik, zaciśniętymi pięściami podkreślając swoje słowa.

Gurg spojrział na niego, a potem na Niso, która z lekkim uśmiechem patrzyła na ich interakcję.

– Żebyś wiedział. Mama zawsze marzyła o dojnej krowie, ale nas nigdy nie było na nią stać.

– No to do dzieła, przyjacielu – zawołał Nurik, obdarzając go porozumiewawczym uśmiechem.

Zawody buzkaszi. Gurg i jego koń Rachsz

Pole do buzkaszi rozciągało się na szerokim terenie, pełnym nierówności i ukrytych przeszkód. Na linii startu gromadziło się około pięćdziesięciu jeźdźców. Ich konie, napięte jak struny, prężyły mięśnie gotowe do wyścigu. Twarze młodych mężczyzn wyrażały napięcie i determinację. Wśród nich był Gurg, głaszczący po szyi swego potężnego konia, Rachsza.

– No co, Rachsz, pokażemy im dzisiaj, na co nas stać? – wyszeptał.

– Z takim koniem jak Rachsz masz duże szanse! – rzucił Nurik, uśmiechając się szeroko. – On jest najlepszy!

Sędzia uniósł rękę, a potem z impetem rzucił tuszkę kozła na ziemię. W powietrzu zawisł okrzyk i chmura pyłu, gdy jeźdźcy ruszyli z miejsca, galopując w dzikim pościgu. Każdy marzył o zwycięstwie. Wygrywał pierwszy, który dotrze do tuszki, chwyci ją, nie schodząc

¹ Dosłownie wydzieranie sobie kozła, narodowe tadżyckie zawody, podczas których kilkudziesięciu jeźdźców walczy o tuszkę kozła, czyli kozła bez głowy.

z konia, dowiezie do mety, nie dając przy tym nikomu wyrwać jej sobie z rąk, i rzuci w wyznaczone miejsce. Gurg od początku trzymał się na czele, wzrok miał skupiony, ręce pewnie dzierżyły wodze. Szybko jednak dostrzegł, że po obu stronach próbują go zablokować dwaj bracia znani z nieuczciwych taktyk. Trzeci, najstarszy z braci, już wyciągał rękę po tuszę. Gurg wiedział, że gra zespołowa jest zabroniona, ale w chaosie buczkaszki nikt nie zwracał na to uwagi. Nie było wyjścia – musiał się przepychać, by utrzymać tempo.

– Naprzód, Rachsz! – zawołał, napinając mięśnie nóg.

Rachsz przemknął między końmi jak strzała, lecz dwaj bracia skutecznie blokowali mu drogę, żeby najstarszy chwycił kozła. Z tyłu Nurik, widząc, co się dzieje, pogonił swojego konia i z impetem wpadł na starszego z braci, który już chwycił kozła i umieścił go na grzbiecie swojego konia. Tusza spadła na ziemię, gdy zaczęła się przepychanka. Zapanował chaos. Jeźdźcy, jeden po drugim, próbowali sięgnąć po zdobycz, a konie parskwały i walczyły o miejsce. Gurg, napędzany determinacją, popchnął Rachsza do przodu. Silny koń przecinał tłum jak okręt fale, aż w końcu chłopak znalazł się w samym środku walki. Zobaczył, jak bracia biją biczami brodacza, który trzyma tuszę.

– Nie tym razem! – krzyknął Gurg, kierując konia na walczących i rozdzielając ich.

Jednemu z braci udało się wyrwać kozła i położyć na konia, ale w tym momencie Nurik, widząc szansę, z całych sił popchnął swojego rumaka na przeciwnika. Tusza znów upadła, a Gurg, wyciągając rękę, chwycił zdobycz i pomknął do mety. Kolejna próba blokady braci spełzła na niczym – Rachsz był zbyt szybki, a Gurg prowadził go z niespotykaną determinacją. Tłum krzyczał, a głosy spletały się w jeden triumfalny dźwięk, gdy Gurg, z twarzą napiętą wysiłkiem, dowiózł tuszę do wyznaczonego miejsca i rzucił ją z rozmachem.

Dumna Niso

Po zwycięstwie w buzkaszi Gurg z triumfem wrócił do domu, jego twarz rozświetlona była radością. Ludzie z doliny wiwatowali, a tłum towarzyszył mu aż do progu chaty, gdzie czekała Niso. Gdy zobaczyła wychowanka, jej oczy zaszkliły się od łez, a usta wygięły w dumny uśmiech.

– Mamo – powiedział młody mężczyzna, podchodząc do niej z dojną krową na uwięzi. Zwierzę było silne, a jego sierść lśniła zdrowiem. – To dla ciebie. Teraz już nigdy nie zabraknie ci mleka.

Niso spojrzała na krowę, potem na Gurga i znów na zwierzę, jakby chciała się upewnić, że to wszystko dzieje się naprawdę. Łzy spłynęły po jej policzkach, a dłonie zdrząły, gdy wyciągnęła je, by dotknąć twarzy syna.

– To więcej, niż mogłam sobie wymarzyć – wyszeptła. – Dziękuję ci, mój synu.

Ludzie wokół klaskali, niektórzy klepali Gurga po plecach, a radość bijąca z ich twarzy była niczym fala rozchodząca się po tłumie. Gurg spojrzał na matkę z powagą i czułością, która była świadectwem jego przemiany – od dzikiego i nieufnego chłopca po człowieka, który znalazł swoje miejsce i rodzinę. Do Gurga i jego matki przecisnął się Nurik, uśmiechając się szeroko. Z błyskiem w oku spojrzał na Niso.

– Ciociu, z taką krową to i mnie byś mogła zaadoptować i przyjąć pod swój dach! – zażartował, klepiąc Gurga po ramieniu.

Śmiech wybuchł wśród ludzi, rozładowując napięcie i dodając ciepła chwili. Gurg uśmiechnął się, a Niso, otarłszy łzy, spojrzała na Nurika z łagodną reprimendą i nieodpartą sympatią.

Siedziba firmy znajdowała się w nowoczesnym biurowcu w centrum Warszawy. Przeszklona fasada budynku odbijała słońce, a wewnątrz lśniły minimalistycznym luksusem, pełnym eleganckich mebli i subtelnymi, drogimi dekoracjami. Wysokie sufity i przestronne pomieszczenia podkreślały prestiż miejsca, a atmosfera świadczyła o sukcesie, jaki firma osiągnęła. Monika, dwudziestopięcioletnia piękna blondynka, właścicielka firmy o zgrabnej sylwetce, siedziała za biurkiem o nowoczesnym designie. Ubrana była w dopasowaną, szarą marynarkę i jedwabną bluzkę w odcieniu kości słoniowej, które świadczyły o jej dobrym guście i dbałości o szczegóły. Na ekranie tabletu, który trzymała w dłoniach, oglądała zawody buzkaszi – gdzie Gurg na swoim koniu wyłaniał się jako niekwestionowany zwycięzca.

Zula, przyjaciółka Moniki i jej prawa ręka w interesach, siedziała naprzeciwko niej. Była Tadźyczką o oliwkowej cerze, miała ciemne, gęste włosy splecione w luźny warkocz i nosiła jedwabną chustę przewiązaną wokół szyi. Z jej figlarnych oczu biła energia. Ubrana była w elegancką, ale prostą sukienkę w kolorze głębokiego błękitu, idealnie kontrastującą z jej ciemną karnacją.

– I co ty na to? – spytała z iskrą w oku. – Widzisz, jakiego konia ma ten zwycięzca?

Monika, zafascynowana obrazem na ekranie, przechyliła głowę, a jej oczy rozszerzyły się z podziwem.

– Wow, niesamowity! Po prostu perełka. Jak go znalazłaś?

Zula zaśmiała się krótko, odchylając się na krześle.

– Przecież za to mi płacisz. To moja praca.

Monika odłożyła tablet, a jej uśmiech nie zniknął z twarzy. Obydwie wstały i wyszły na korytarz, idąc wzdłuż długich przeszklonych biur, w których pracownicy pochylali się nad komputerami, sporządzając raporty i wypełniając arkusze.

– Niech zgadnę, Arabia Saudyjska? – zagadnęła Monika, zerkając na Zulę.

– Nie. – Odpowiedź Zuli była krótka, miała zadziorny uśmiech na ustach.

Monika zatrzymała się na moment, marszcząc czoło.

– Poczekaj, Pakistan? – dopytała i znów ruszyła wzdłuż korytarza.

– Nawet nie staraj się zgadywać. I tak nie odgadniesz – rzuciła Zula z rozbawieniem. – Żadne znane światowe hodowle. Ten koń pochodzi z mojego kraju.

Monika otworzyła usta ze zdumienia.

– Z Tadżykistanu?

– Tak, znalazłam go wysoko w górach, w zwykłej górskiej wiosce – przytaknęła Zula. – A właścicielem tego konia, bardzo się zdziwisz, jest zwykły wiejski chłopak – góral.

Monika przystanąła, poważniejąc, a na jej twarzy pojawiło się zainteresowanie.

– Ten chłopak na wideo? Ten, który zwyciężył w zawodach?

– Tak! I myślę, że kupimy tę perelkę od niego za grosze. Zaoszczędziłam ci kilka milionów.

Monika roześmiała się głośno, ściskając ramię Zuli.

– Czy mówiłam ci już, że jesteś najlepsza?

– Dziś jeszcze nie mówiłaś – odpowiedziała Zula, śmiejąc się.

Monika pochyliła się do przyjaciółki z uśmiechem pełnym wdzięczności.

– Kochana, jesteś najlepsza. Nie wytrzymam, muszę mieć tego konia jak najszybciej. Kiedy tam jedziemy?

Zula uniosła brew, jej oczy błyszczały figlarnie.

– Kupiłam bilety na dziś wieczór. Za trzy dni mamy powrót.

Wyraz twarzy Moniki gwałtownie się zmienił, a uśmiech nieco przygasł.

– Na dziś wieczór? – powtórzyła, marszcząc brwi. – A to nic, że za tydzień mam ślub? Mirek mnie zabije, jak wyjadę przed ślubem. Tobie to w ogóle nie przeszkadza?

– Mnie nie! A tobie? – odparła Zula.

Monika się uśmiechnęła.

– Mnie też nie!

Obie kobiety wybuchły śmiechem, ich radosne głosy odbiły się echem od ścian biurowca.

– No to lecimy do Tadżykistanu! – oznajmiła Zula. – Tak pomyślałam, że przy okazji poćwiczysz sobie tam swój język perski.

Monika uśmiechnęła się szeroko, jej oczy rozbłysły ekscytacją.

– Jesteś genialna. – Przełączyła się na tadżycki. Mówiła płynnie, z nutą dumy: – *Behtar in tadžribai omuzisi zaban in tadžriba dar kiszwari modari ast*¹.

Zula roześmiała się w odpowiedzi.

– *Albata!*².

– *Juhu... Todžikiston, ba piesz!*³. – Monika uniosła pięść w geście triumfu.

– *Ba piesz!*⁴. – powtórzyła Zula, a obie kobiety ruszyły korytarzem gotowe do nowej przygody.

¹ Najlepsza praktyka językowa, to praktyka w kraju ojczystym.

² Oczywiście.

³ Tadżykistan, naprzód.

⁴ Naprzód.

Podróż

Zachodzące słońce nad Warszawą rzucało na niebo rozległą paletę barw – od ciepłego pomarańcza po głęboki fiolet. Sylwetka samolotu, odrywającego się od pasa startowego i wznoszącego ku niebu, przecięła tę feerię kolorów. Lśniące skrzydła odbijały ostatnie promienie słońca, symbolizując początek nowej przygody.

Wewnątrz panowała przyjemna cisza. Zula, zrelaksowana w fotelu, przeglądała magazyn ze zdjęciami gór i dolin Tadżykistanu. Monika, wygodnie usadowiona obok, spojrzała na fotografie w czasopiśmie.

– Czy naprawdę są tak piękne, jak na tych zdjęciach?

Zula tajemniczo się uśmiechnęła.

– Zdjęcia nie oddają rzeczywistości. Tam powietrze jest inne, ludzie są inni. Tadżykistan to nie tylko miejsce, to stan duszy.

Monika zamyśliła się, spoglądając w okno, gdzie samolot już przecinał nocne niebo. Jej myśli uciekały ku nadchodzącej podróży i pytaniom, które budził ten odległy i tajemniczy kraj.

Następnego ranka samolot, delikatnie obniżając lot, przygotowywał się do lądowania w Duszanbe. Góry otaczające miasto lśniły w pierwszych promieniach słońca, a ich ośnieżone szczyty przypominały drogocenne kamienie. W oddali, nad dolinami, unosiły się lekkie poranne mgły, dodając krajobrazowi odrobinę magii.

Kiedy kobiety wyszły z samolotu, Zula natychmiast uśmiechnęła się szeroko, rozkładając ręce.

– Witaj w Tadżykistanie!

Monika wzięła głęboki oddech, a jej włosy rozwiął delikatny wiatr. Powietrze było czyste i rześkie, a wschodzące słońce oświetlało górskie pasma.

– To powietrze jest zupełnie inne – powiedziała, rozglądając się wokół. – To miejsce oddycha wolnością.

Monika i Zula, znużone długą podróżą, ale podekscytowane, przeszły przez kontrolę paszportową i wyszły na zewnątrz.

Zula z uśmiechem pełnym dumy wskazała ręką na parking.

– Nasz samochód czeka – oznajmiła z błyskiem w oku.

Na parkingu stał luksusowy mercedes, jego czerwona karoseria lśniła w porannym słońcu. Monika uniosła brwi zachwycona.

– Mogę poprowadzić? – zapytała, nie kryjąc entuzjazmu.

Zula zaśmiała się i podała kluczyki przyjaciółce.

– Ależ proszę. – Jej oczy rozbłysły rozbawieniem.

Monika wsadziła walizki do bagażnika i nim Zula zdążyła zapiąć pasy, z piskiem opon ruszyła z miejsca. Silnik zamruczał głęboko, a samochód pomknął w stronę serpentynowych dróg.

Góry marzeń

Jazda przez Duszanbe była dla Moniki niczym podróż w inny świat. Miasto, z mozaiką nowoczesnych budynków i zabytkowych domów, tętniło życiem. Ulice pełne były ludzi, a bazyry przyciągały zapachem świeżych przypraw i owoców.

– Zobacz, to Pałac Narodowy – wskazała Zula z dumą. – A tam jest opera. Może kiedyś wrócimy i zobaczymy przedstawienie.

Monika chłonęła każdy detal, od architektury po zaśnieżone szczyty na horyzoncie. Serce biło jej szybciej, gdy wjechały na główną drogę prowadzącą w górskie rejony.

– Opowiedz mi o tych górach, Zula – poprosiła, patrząc na zbocza, które zdawały się opadać i wznosić jak fale morza.

– Te góry, Moniko, to serce Tadżykistanu. To miejsce, gdzie świat wygląda inaczej, jakby czas stanął w miejscu. Mówią, że każda dolina ma swoje tajemnice, a każda ścieżka – historię, którą warto poznać. – Zula mówiła z błyskiem w oku pełna miłości do swojego kraju. – Czeka nas coś niezwykłego.

Po chwili droga miejska ustąpiła miejsca krętym, wąskim ścieżkom wiodącym przez góry. Serpenty ny owijały się wokół zboczy niczym węże, a widok za oknem zapierał dech w piersiach. Monika skupiała się na prowadzeniu, ale nie mogła powstrzymać uśmiechu, który mimowolnie pojawiał się na jej twarzy. Czuła, jak serce bije jej szybciej, gdy odczuwała piękno otaczającej przyrody. Gdy dotarły do końca drogi, zobaczyły, że dalsza podróż samochodem jest niemożliwa. Kamienista ścieżka wiodła w głąb dzikiego krajobrazu, a jedyną opcją było piesze podejście. Wynajęły przewodnika – miejscowego

mężczyznę o sękiej twarzy i pogodnym uśmiechu, który przyprowadził dwa osły i pomógł kobietom zapakować na nie bagaże.

– No cóż, teraz zaczyna się prawdziwa przygoda – mruknęła Zula z uśmiechem.

Zula

Monika i Zula, prowadząc swoje osły po wąskiej, skalistej ścieżce, wspinały się coraz wyżej, wśród skał i wąskich ścieżek, które miejscami znikały wśród porastającej je roślinności. Wokół rozpościerał się zapierający dech w piersiach widok na dolinę pełną strumyków i roślinności otoczoną pasmami górskimi. Po kilku godzinach podróży dziewczyny zatrzymały się na jednym ze wzgórz na postój, żeby odpocząć. Przewodnik zdjął z osłów bagaże, żeby też mogły odetchnąć, a sam usiadł na trawie trochę dalej. Wysokość sprawiała, że powietrze było rześkie, a każdy oddech wydawał się głębszy i bardziej intensywny. Zwierzęta parskały cicho, ich nozdrza się rozszerzały, kiedy leniwie przeżuwały trawę. Monika usiadła na kamieniu, ocierając czoło, a Zula wyciągnęła skórzany bukłak z wodą i podała jej z lekkim uśmiechem.

– Prawdziwy oddech wolności, prawda? – rzuciła Zula, wskazując na rozciągający się przed nimi widok na dolinę.

Monika napiła się wody, a potem oddała bukłak.

– Tak – przyznała, rozglądając się dookoła. – Ale muszę przyznać, że życie tutaj wydaje się... trudne.

Zula pokiwała głową, usiadła obok niej i zamyśliła się na chwilę, patrząc w dal.

– Wiesz, Moniko, nawet nie zdajesz sobie sprawy, jak życie tu zmieniło się przez ostatnie sto lat. Kiedy byłam dzieckiem, słyszałam wiele opowieści o tym, jak trudno było mojej prababci Sawri. To właśnie ona położyła fundament pod wszystko, co mamy dzisiaj.

Monika uniosła brwi zainteresowana.

– Opowiedz mi o niej – poprosiła cicho.

Zula na chwilę się zamyśliła i popatrzyła w dal.

– Wiele lat temu, jeszcze za czasów Emiratu Bucharskiego, moja prababcia Sawri była dzieckiem. Miała zaledwie jedenaście lat, kiedy jej życie zamieniło się w koszmar... Była drobną dziewczynką o wesołym uśmiechu z lalką w ręku. Bawiła się beztrzesko na ulicy, gdy zobaczył ją majątny lekarz, mężczyzna, który miał już kilka żon. W tamtych czasach takie „małżeństwa” były normą, a Sawri była kolejną ofiarą tego systemu. Lekarz wysłał swatki do jej rodziców, oferując bogactwa w zamian za dziewczynkę. Rodzina, zastraszona i biedna, nie miała wyboru. Sawri, choć płakała i błagała, by zostać z rodzicami, została wydana za męża. Zamiast domu, w którym miała ciepło i bezpieczeństwo, trafiła do Samarkandy, gdzie zamieszkała z jedną z żon lekarza. Starsza kobieta, Halima, była surowa i okrutna, traktowała Sawri jak służącą. Dziewczynka znosiła bicie i upokorzenia, aż pewnego dnia nie wytrzymała. Uciekła do swoich krewnych, ale została złapana i pobita prawie na śmierć przez męża. Nie poddała się jednak. W wieku trzynastu lat uciekła do swojej babci w Chodźencie. Tam zaczęła dorastać w ukryciu, ucząc się, jak bronić swoich praw. Kiedy miała osiemnaście lat, zrobiła coś, co w tamtych czasach było niewyobrażalne – zrzuciła parandzę i wyszła na ulicę z odsłoniętą twarzą. Ludzie ją opluwali, bili, ale ona wracała – kontynuowała opowieść Zula, patrząc na Monikę z dumą. – Wracała każdego dnia, aż w końcu inne kobiety ruszyły za jej przykładem. Dzięki niej inne kobiety mogły poczuć, co to znaczy być wolnym człowiekiem – mówiła z iskrą w oczach. – Jej odwaga przeniosła się na moją babcie, a potem na moją mamę.

Monika pochyliła się lekko w stronę Zuli.

– Twoja babcia i mama też walczyły?

Zula skinęła głową.

– Babcia była jedną z pierwszych kobiet w Tadżykistanie, która weszła do rządu. W tamtych czasach to było niemal niewyobrażalne. Walczyła o prawo kobiet do edukacji, pracy, do decydowania o swoim życiu, do wyboru męża z miłości, a nie z przymusu. Mówiła, że każda dziewczyna ma prawo powiedzieć „nie”. Dzięki niej kobiety zaczęły wierzyć, że ich głos ma znaczenie.

Monika wciągnęła głęboko powietrze, jej spojrzenie utknęło w dalekich szczytach gór, które zdawały się tak nieosiągalne, jak ideały, o które walczyła babcia Zuli.

– A twoja mama? – zapytała zaintrygowana.

– Mama założyła międzynarodową fundację, która wspiera kobiety w krajach, gdzie ich prawa są deptane – odparła Zula. Jej głos nabrał miękkości, gdy mówiła o matce. – Zawsze powtarzała, że każda walka zaczyna się od małego kroku.

Monika uśmiechnęła się lekko, ale jej oczy, pełne zamyślenia, zdradzały, że w głowie kołacze się jeszcze jedno pytanie.

– A ty? – rzuciła w końcu.

Zula spojrzała na nią z dumą, jej ciemne oczy błyszczały jak ogniki.

– A ja? Dzięki mojej prababci, babci i mamie nie muszę chodzić z zasłoniętą twarzą. Jestem wolna, mogę się uczyć, wybierać swoją drogę, decydować, kogo pokocham. Podróżuję, gdzie chcę, i walczę o to, by inne kobiety mogły mieć to samo. – Jej słowa były jak pieśń o wolności, mocne, a zarazem pełne wdzięczności. – Wszystko to zawdzięczam ich poświęceniu.

Monika milczała przez chwilę, chłonąc tę opowieść. Potem spojrzała na przyjaciółkę, a w jej oczach zalśniło coś nowego – podziw i cicha, niewypowiedziana solidarność.

Razem w milczeniu patrzyły na horyzont, gdzie góry i niebo spotykały się w nieskończoności.

Nagle telefon Moniki zaczął dzwonić. Wyświetlacz pokazał jedno słowo: „Słodziak”. Spojrzała na ekran, a wyraz jej twarzy zdradził mieszanekę zaskoczenia i niepokoju.

– To Mirek – powiedziała Zuli, przetykając nerwowo ślinę. – On nie wie, że jestem w Tadżykistanie.

Zula uniosła brew zdziwiona.

– Jak to? Nie powiedziałaś mu?

Monika wzruszyła ramionami.

– Nie chciałam awantur. I tak jest w Londynie do środy. – Wzięła głęboki oddech i odebrała połączenie. – Cześć, kochanie.

Mirek

Mirek, narzeczony Moniki, miał trzydzieści lat. Nie był może typowym przystojniakiem, ale jego twarz o łagodnych rysach i przyjaznym spojrzeniu budziła sympatię. Był człowiekiem pełnym ciepła, gotowym wspierać Monikę w każdym przedsięwzięciu. Teraz, siedząc za kierownicą swojego luksusowego auta w Warszawie, jego głos brzmiał radośnie i pełen energii.

– Cześć, rybcie. Wróciłem z Londynu wcześniej, niż planowałem, chciałem zrobić ci niespodziankę. Jesteś u siebie w biurze? Bo właśnie jadę do ciebie z lotniska.

Monika zacisnęła zęby, próbując zachować spokój.

– A... wiesz, pomyślałam sobie, że przed ślubem muszę się zresetować i wyjechałam w góry na chwilę.

– O kurcze, myślałem, że cię zobaczę – powiedział z lekkim zawodem, ale zaraz dodał ciepło: – Ale bardzo dobrze zrobiłaś. Wreszcie coś dla siebie. A nie tylko konie i konie. Wrócisz do wieczora?

Monika spojrzała na Zulę, której oczy mówiły: „Co teraz?”, i szybko odparła:

– Nie, do wieczora nie wrócę. Wiesz co, tu jest bardzo słaby zasięg. Zadzwoń wieczorem, okej?

– Dobrze, kochanie – odpowiedział Mirek, a jego głos pełen był miłości.

Monika się rozłączyła, a napięcie, które ją ogarniało, powoli ustąpiło, zmieniając się w ulgę. Wypuściła powietrze z westchnieniem.

– Kurcze, miał wrócić w środę.

Zula spojrzała na nią pół żartem, pół poważnie.

– Co mu powiesz wieczorem?

Monika się uśmiechnęła.

– Powiem mu prawdę, że jestem w górach. Idziemy.

Zula zaśmiała się krótko, poprawiając torbę na ramieniu.

– No to ruszajmy. Tadżykistan dopiero zaczyna naszą przygodę.

Wysoko w górach, przed nimi roztaczały się krajobrazy pełne obietnic i tajemnic. Niebawem miały stanąć twarzą w twarz z tym, po co tu przyjechały – z mężczyzną o dzikim sercu i jego koniem, który skradł ich uwagę od pierwszego spojrzenia.

Wioska Piskon. 2800 metrów nad poziomem morza

*P*odróż Moniki i Zuli wiodła przez kamieniste ścieżki i strome zbocza, które zdawały się piętrzyć coraz wyżej, jakby chciały dotknąć nieba. Po kilku godzinach mozolnej wędrówki dotarły na wysokość 2800 metrów nad poziomem morza do wioski Piskon, jednej z ukrytych osad Doliny Jagnobskiej. Dolina ta, owiana historią i legendami, była miejscem, które przez wieki opierało się zmianom i przechowywało tradycje przodków. Wąska, zielona dolina otoczona skalistymi szczytami była zarówno oazą spokoju, jak i areną, na której codziennie toczyły się zmagania z surowymi warunkami przyrody.

Wioska Piskon, choć skromna, emanowała urokiem autentyczności. Kamienne chaty wyglądały, jakby były częścią samej ziemi, wtopione w krajobraz od niepamiętnych czasów. Mieszkańcy, potomkowie starożytnych ludów Sagdyjskich, mówili dialektem jagnobskim, który brzmiał jak echo przeszłości. Piskon była jednym z ostatnich miejsc, gdzie można było usłyszeć te dawne dźwięki starożytnego języka, niesione przez wiatr wśród szczytów. Zula, prowadząc Monikę przez wąskie uliczki pełne dzieci i pracujących ludzi, nie kryła dumy.

– Jagnob, Moniko, to serce dawnej Sagdiany – powiedziała, wskazując na starą kobietę, która przędła wełnę na progu swojego domu. – To miejsce jest jak kapsuła czasu. Tutaj historia splata się z codziennością.

Monika chłonęła wszystko – zapachy, dźwięki, chłodne powietrze przepełnione aromatem ziół. Czuła, jakby przeniosła się w inny wymiar, gdzie świat i jego tempo były całkiem inne.

– A Piskon? – zapytała, przystając na moment, by spojrzeć na roześmiane dzieci biegnące z owcami przez pastwisko.

– Piskon to wioska, która przetrwała nawet największe burze, dosłownie i w przenośni. Podczas trzęsienia ziemi wiele lat temu część osady została zniszczona, ale mieszkańcy odbudowali ją własnymi rękami. To tutaj, w tych górach, ludzie są tak twardzi jak ziemia, na której żyją.

Monika skinęła głową, czując respekt do ludzi, którzy potrafili przetrwać w tak surowych warunkach i zachować swoją tożsamość. Kobieta, która studiowała język perski na uniwersytecie, czuła się tu jak w miejscu, o którym do tej pory tylko czytała. Spojrzała na Zulę z wdzięcznością.

– Dziękuję, że mnie tu przywiozłaś.

Zula uśmiechnęła się szeroko, a jej oczy błyszczały w blasku porannego słońca.

– To dopiero początek, Moniko. Teraz musimy znaleźć tego chłopaka i jego konia.

Skierowały się ku głównemu placowi wioski, który, choć prosty, był sercem społeczności.

Spotkanie z Niso

Monika i Zula wreszcie dotarły do domu Niso, matki Gurga. Prostota obejścia była odzwierciedleniem życia, jakie prowadziła kobieta. Dom był skromny, lecz zadbane. Wejście prowadziło do niewielkiego, przytulnego pokoju, w którym po bokach były wyłożone miękkie kurpaci¹ służące za siedziska. Na środku leżał stary, lecz starannie utrzymany dywanik, na którym rozłożono obrus pamiętający dawne lata. Na nim spoczywały non² i kurut³.

¹ Kołdry z waty.

² Tadzycy chleb.

³ Suszony ser o intensywnym smaku.

Monika i Zula siedziały cicho, podziwiając atmosferę miejsca, gdy do pokoju weszła Niso. Kobieta o pogodnych oczach i twarzy, którą przecinały zmarszczki świadczące o latach pracy i trosk, niosła stary metalowy czajnik z gorącą, świeżo zaparzoną zieloną herbatą oraz dwie piały¹. Uśmiechnęła się serdecznie, stawiając czajnik na obrusie i spoglądając na przyjezdne kobiety.

– Mówią panie, że przyjechały z Polski. Co was sprowadziło do nas z tak dalekiego kraju? – zapytała, nalewając herbatę do piałek.

Zula, patrząc na starszą kobietę z szacunkiem, odpowiedziała:

– Choładżon², moja przyjaciółka zajmuje się kupnem i sprzedażą koni.

Niso uniosła brew, a jej zmarszczki pogłębiły się lekko.

– Kupnem i sprzedażą koni? – powtórzyła, jakby próbowała pojąć tę obcą jej ideę.

– Tak – odparła Zula.

Niso pokręciła głową z niedowierzaniem.

– A po co kupować konie, żeby potem sprzedawać? Przecież to nie ma sensu.

Monika, próbując zachować uprzejmość, uśmiechnęła się lekko.

– No... to taki biznes.

– Przepraszam, nie rozumiem – odpowiedziała Niso, choć w jej głosie nie było gniewu, tylko czysta ciekawość.

Zula, chcąc rozjaśnić sytuację, wyjęła telefon i pokazała zdjęcie Gurga siedzącego na grzbiecie Rachsza, konia, o którego tutaj chodziło. Na zdjęciu chłopak był w pełnym biegu, jego twarz wyrażała mieszankę skupienia i radości, a Rachsz wyglądał jak symbol siły i gracji.

– Chciałybyśmy kupić od pani tego konia – wyjaśniła.

¹ Tradycyjne tadżyckie miski do picia herbaty.

² W Tadżykistanie tak zwracają się z szacunkiem do starszych kobiet.

Monika pochyliła się nieco do przodu.

– Zapłacimy bardzo dobrą sumę – dodała, jej głos miał w sobie stanowczość.

Niso spojrzała na zdjęcie, a jej oczy spochmurniały, jakby na chwilę cofnęła się myślami do przeszłości.

– Ten koń należy do mojego syna. Nie mogę go sprzedać.

Monika uniosła brwi nieco zaskoczona, że Niso nie zapytała nawet o cenę.

– Ale pani nawet nie zapytała za ile. Myślę, że syn będzie zadowolony, jak się dowie, za jak wysoką cenę był sprzedany.

Niso, lekko pochyłona, spojrzała na Monikę z ciepłem, lecz i z nieugiętą stanowczością.

– Kiedy kobyła odrzuciła potomstwo od siebie, mój syn sam od małego wykarmił tego źrebaka i go wychował. Ja nie mogę go sprzedać.

Zapadła chwila ciszy, podczas której Monika i Zula wymienili zaniepokojone spojrzenia.

– A jeśli syn się zgodzi? – zapytała Monika, próbując jeszcze raz. Niso pokręciła głową.

– Nie sędzę, ale możecie z nim porozmawiać.

Monika uśmiechnęła się lekko, widząc szansę.

– Okej, porozmawiamy. Może pani go zawołać? – zapytała z nadzieją.

Niso westchnęła, a na jej twarzy pojawiła się smutna nuta.

– On jest teraz w wojsku. Wróci za dwa lata.

Dziewczyny popatrzyły na siebie z wyraźnym rozczarowaniem. Cisza zawisła w powietrzu, aż Zula, z lekkim poczuciem winy, powiedziała do Moniki po polsku:

– Przepraszam, nie mogłam tego przewidzieć.

Monika, zmarszczona i zmartwiona, westchnęła ciężko.

– No to co teraz zrobimy? – szepnęła, jej głos pełen był frustracji.

Zula odpowiedziała równie cicho z rezygnacją:

– No to pełna porażka. Wracamy do domu.

Monika spojrzała na przyjaciółkę z determinacją w oczach.

– Żartujesz sobie? Nie jestem przyzwyczajona do porażek – powiedziała po polsku, po czym zwróciła się do Niso po tadżycku: – A może pani dać adres jednostki, w której syn odbywa służbę?

Niso, zaskoczona, ale życzliwa, pokiwała głową.

– Oczywiście. Pisał mi list, zaraz wam dam, ale najpierw zjecie pyszny obiad, już niosę.

Kobieta wstała, a ciepłe światło wpadające przez małe okno rzuciło na jej plecy długi cień. Dziewczyny spojrzały po sobie, a na twarzy Moniki mimo rozczarowania pojawił się cień uśmiechu. W tej chwili, daleko od luksusu, do którego była przyzwyczajona, poczuła, jak ciepła gościnność i prostota miejsca dotykały jej serca.

Łuszanbe tętniło życiem nawet w wojskowych koszarach, gdzie codzienność młodych żołnierzy przypominała mieszankę surowej dyscypliny i młodzieńczej energii. Szatnia była ciasnym pomieszczeniem, gdzie sześćdziesięciu młodych mężczyzn tłoczyło się, walcząc o przestrzeń i miejsce do przebrania się. Gwar głosów mieszał się z odgłosami kroków i śmiechem, tworząc chaotyczny, lecz znajomy dźwięk żołnierskiej codzienności. W jednym kącie grupka młodych rekrutów przekomarzała się, podczas gdy inni, już nadzy, kierowali się w stronę łaźni, a reszta, wpołubrana, czekała na wymianę bielizny. W odległym kącie szatni po kąpieli ubierali się w czystą bieliznę Gurg i jego przyjaciel Nurik. Przez ten zamęt przepychał się dyżurny, zbierał brudną bieliznę żołnierzy i kładł im świeżą. W pewnym momencie ktoś krzyknął, przebijając się przez zgiełk:

– Ludzie! Gacie nam wymieniają!

– A jasne, wymieniają gacie po facetach z czwartego plutonu, na gacie po chłopakach z trzeciego! – odkrzyknął z drwiną Nurik.

Szatnia buchnęła gromkim śmiechem. Gurg, siedząc obok przyjaciela w białych wojskowych kalesonach, z ledwo zauważalnym uśmiechem na ustach zakładał czysty biały T-shirt. Spokój jego ruchów wyróżniał się na tle hałasu i chaosu. Nurik, jakby nagle sobie coś przypomniał, pacnął się w czoło.

– Całkiem zapomniałem! Przecież mam list do ciebie. – Z kieszeni bluzy wyciągnął kopertę i teatralnie ją powąchał, przyzymkając oczy. – Ach, jaki zapach, boskie perfumy!

Gurg wyciągnął rękę i wyrwał mu kopertę, chowając ją do kieszeni swojej bluzy. Nurik pokiwał głową z szacunkiem, jego uśmiech był pełen uznania.

– Ty to masz szczęście. Ta dziewczyna pisze do ciebie niemal codziennie. To musi być prawdziwa miłość.

Gurg wzruszył ramionami, jego spojrzenie było spokojne, niemal obojętne.

– Nawet nie wiem, kim jest i jak ma na imię – odpowiedział lakonicznie.

– A jak się podpisuje? – dopytał Nurik, unosząc brew.

– Tylko dwie litery – T.N. – Głos Gurga brzmiał tak samo zagadkowo, jak te inicjały.

– T.N. Tajemnicza Nieznajoma... – Nurik uśmiechnął się z przy-mrużonym okiem.

Nagle nad gwar wybił się groźny głos.

– Dyżurny! Co jest, do kurwy nędzy?! To są moje gacie?! – Sierżant Gułow, rosły żołnierz z wyraźnie starszego rocznika, wymachiwał przed nosem przerażonego dyżurnego kałesonami z dziurą na tyłku. Jego szeroka sylwetka i głośny głos wzbudzały respekt i strach. – Ja ci zaraz taką dziurę w dupie zrobię! Zrozumiałeś?! – ryknął, a dyżurny, blady jak ściana, rozglądał się nerwowo.

– Nie wiem, ale ja tu przed chwilą położyłem nowe – wyjąkał młody żołnierz, ledwie utrzymując się na nogach. Potem wskazał na Gurga i Nurika. – Może ci dwaj zabrali? Mają na sobie nowe gacie.

Sierżant Gułow zacisnął szczęki i rozejrzał się po sali. Jego wzrok zatrzymał się na Gurgu.

– Ej... żołnierzu... – huknął, a w szatni zapadła cisza. Wszystkie oczy skierowały się na nich.

Dyżurny, korzystając z okazji, czmychnął w kąt szatni.

Gurg spojrział na sierżanta z kamienną twarzą nieporuszony.

– Tak, ty, ty. Cho no tu! – zagrział Gułow, a kilku starszych żołnierzy podeszło do niego wolnym krokiem.

– Co jest, Raszid? – zapytał jeden z nich, patrząc na zamieszanie.

– Kotom zupełnie odjechało! – rzucił sierżant, spoglądając z gniewem. – Patrzcie, gacie mi podpierdolił!

Sierżant Gułow i jego towarzysze ruszyli w stronę Gurga i Nurika.

– Odjechało ci, kocie? BACZNOŚĆ! – rozkazał, zbliżając się do Gurga.

Gurg siedział sztywno, jego twarz była chłodna i spokojna. Napiał mięśnie gotów do skoku. Jeden z bardziej zadziornych „dziadków” podszedł z zuchwałością, a jego oczy błyszczały złośliwym uśmiechem.

– Co się gapisz, gnojku? Ściągaj gacie, ale już... – warknął, ale zanim zdążył cokolwiek więcej powiedzieć, Nurik pacnął go lekko w ramię.

– Hej, koleś, popatrz, ty też masz dziurę w dupie.

Dziadek obrócił się gwałtownie, próbując dostrzec własne kalesony.

– Gdzie?!

– Przez gacie nie widać, debilu! – odparł Nurik z kpiącym uśmiechem.

Żołnierze wybuchli śmiechem, a atmosfera na moment się rozładowała. Jednak tylko na chwilę. Dziadek rzucił się na Nurika, ale ten zwałił go jednym celnym sierpowym w szczękę. Dziadek padł na podłogę. Sierżant Gułow zareagował błyskawicznie, celując cios w Nurika, ale jego ręka napotkała potężnego kopniaka Gurga, który odparł atak.

Rozpoczęła się bójka. Starsi żołnierze i sam sierżant Gułow rzucili się na Gurga i Nurika. Młodzi rekruci, stojąc plecami do siebie, starali się trzymać ich na dystans. Ciosy, przekleństwa i odgłosy walki odbijały się echem od ścian ciasnej szatni. Gurg, z twarzą bez cienia strachu, odpierał ciosy i atakował z precyzją. Trzech przeciwników napierało na niego, ale żaden nie mógł przełamać jego obrony. Nurik,

walcząc z dwoma żołnierzami, dzielnie odpierał ich ataki, aż trafił na silne uderzenie sierżanta Gułowa, które powaliło go na podłogę. Nad jego głową zawisała metalowa szafka, a sierżant uniósł ją z zamiarem zadania ciosu.

Nagle rozległ się potężny okrzyk od drzwi:

– Spokój!!! Sierżancie Gułow, czekam na was u siebie! Natychmiast! – Głos oficera uciszył całą szatnię.

Żołnierze zamarli, a szafka upadła z brzękiem na podłogę, kiedy sierżant ją puścił. Oficer obrzucił zebranych surowym spojrzeniem, po czym odwrócił się na pięcie i wyszedł. Sierżant Gułow, wściekły i pokonany, poszedł się ubierać. W szatni zapanowała cisza przerywana tylko ciężkimi oddechami.

Młodzi żołnierze, widząc Gurga i Nurika, patrzyli na nich z szacunkiem i podziwem. Dwaj rekruci, koty, przeciwstawili się pięciu starszym i wyszli z tego z honorem.

W ciszy, która zapanowała, nie było już śladów wcześniejszej wrogości. Teraz młodzi widzieli w Gurgu i Nuriku nie tylko towarzyszy z plutonu, ale bohaterów. Gurg podał rękę Nurikowi, który leżał na podłodze. Kiedy ten stanął na nogach, spojrzeli na siebie z uśmiechem i uderzyli się pięściami w braterskim geście.

Apel na placu jednostki wojskowej

Poranek w Duszanbe był świeży i rześki. Powietrze niesło ze sobą zapach chłodnej rosy, a słońce, które dopiero wschodziło, oświetlało plac apelowy koszar. Na placu, stojąc na baczność, znajdowało się około dwustu żołnierzy. Gurg i Nurik stali w ostatnim szeregu, wymieniając między sobą porozumiewawcze spojrzenia. Oboje wiedzieli, że po wczorajszej bójce mogą się spodziewać zemsty „dziadków”.

Przez plac przesuwała się masywna sylwetka sierżanta Gułowa. Jego ciężkie kroki odbijały się echem, a wzrok lustrował szeregi

z chłodną dokładnością. Zatrzymał się za plecami Gurga i Nurika i cicho rzucił:

– Tabarow, Salimow, w lewo zwrot, za mną marsz.

Obaj żołnierze sprawnie wykonali rozkaz i ruszyli za sierżantem, czując na sobie spojrzenia kolegów.

– Wy dwaj będziecie teraz u mnie pod „szczególną opieką” – powiedział sierżant Gułow, kiedy przechodzili przez bramę jednostki. Jego głos był lodowaty, a spojrzenie mówiło jedno – kara będzie surowa. – Będziecie mnie długo pamiętać.

Za bramą, przy wejściu na drogę gruntową, czekał mężczyzna o niechlujnym wyglądzie – około czterdziestoletni, z kilkudniowym zarostem i papierosem w ustach. Jego zmęczone oczy przyglądały się dwóm młodym żołnierzom z oceną, po czym przeniosły się na sierżanta.

– Co jest?! Tylko dwóch?! – zapytał, a jego głos pełen był irytacji.

– Nie dadzą rady. Zapłaciłem ci za czterech!

– Nie martw się, ci dwaj mogą robić za ośmiu – odparł sierżant Gułow, wzruszając ramionami.

– Ale... – Mężczyzna już chciał protestować, lecz zrezygnował, gdy zobaczył zimne spojrzenie sierżanta.

– Albo bierzesz tych dwóch, albo do widzenia. I pamiętaj, muszą wrócić przed wieczornym apelem. Zrozumiano? Czołem! – Gułow zwrócił się jeszcze do Gurga: – Salimow, chodź ze mną. – Spojrzał na Nurika i młodszą. – Poczekaście tu pięć minut, zaraz wróci i pojedziecie.

Mężczyzna, zirytowany, zapalił papierosa, a Nurik, starając się zażyć czas, kucnął przy niewielkim drzewku, zbierając kilka kamyków. Gułow i Gurg zniknęli za rogiem ogrodzenia.

Ile kosztuje Rachsz, koń Gurga?

Ulica obok jednostki tętniła spokojem poranka. Stało tam czerwone auto – eleganckie i błyszczące, które od razu przyciągało uwagę.

Przed samochodem czekały dwie kobiety. Monika, zdeterminowana i elegancka, wzięła głęboki oddech, a obok niej Zula, z iskrą w oku, obserwowała nadchodzących. Sierżant Gułow, nie spuszczać oczu z Moniki, podał rękę, do której Zula włożyła złożony banknot. Szybko schował pieniądze do kieszeni.

– Pięć minut, nie więcej. On musi zaraz jechać – przypomniał, spoglądając ostrzegawczo.

– Oczywiście, dziękujemy – odpowiedziała Zula z lekkim uśmiechem. Sierżant odszedł, a Gurg, z wyrazem zdziwienia na twarzy, zatrzymał się przed kobietami, niepewnie na nie patrząc.

Zula przełamała ciszę.

– Cześć, mam na imię Zula, a to jest Monika. Przyjechałyśmy z Polski specjalnie do ciebie.

Gurg patrzył na nią z niedowierzaniem, a jego twarz pozostała nieruchoma. Nie wiedział, co mogło sprowadzić te obce kobiety w takie miejsce.

– Chodzi o to, że widziałyśmy cię na zawodach buzkaszi. Bardzo nam się spodobał twój koń, Rachsz – wyjaśniła Zula, starając się mówić spokojnie i przekonująco.

Cisza, która nastąpiła, wydawała się ciągnąć bez końca. Gurg zmarszczył brwi, nadal nie rozumiejąc, dlaczego były tu teraz i co miały na myśli.

– W skrócie mówiąc, chciałybyśmy od ciebie odkupić tego konia. Od razu mówię, cena nie gra roli. – Zula przez chwilę się zastanowiła i postanowiła zaproponować kwotę, która według niej powinna być powalącą z wrażenia zwykłego chłopaka z gór. – Możemy ci zapłacić nawet tysiąc dolarów – kontynuowała, a Monika patrzyła na Gurga z wyczekiwaniem.

Chłopak z kamienną twarzą powoli odpowiedział:

– Bardzo mi przykro, że musieliście panie jechać w tak daleką podróż, ale mój koń nie jest na sprzedaż.